

Bóstwo sukcesu

AUTOR: JACEK KOPCIŃSKI

Paweł Demirski i Monika Strzępka uchodzili do niedawna za awangardę teatru krytycznego, ale to się już chyba skończyło. Choć kpią niemiłosiernie z Polaków, ich obyczaju, tradycji i kultury, ci odpowiadają im śmiechem i wspólną kolędą na widowni.

■ Był kiedyś taki kabaret w Krakowie, najpierw studencki, a potem zawodowy, ze znanymi piosenkarzami, satyrykami i aktorami, który nazywał się *Spotkanie z Balladą*. Młodszy pewnie go nie pamiętają, ale moje pokolenie się na nim wychowało. Dokładnie wtedy, gdy po raz pierwszy samodzielnie włączyłem telewizor, a więc za wczesnego Gierka, Dwójka zaczęła nadawać kolejne odcinki kabaretu i trwało to aż do lat dziewięćdziesiątych, kiedy polska kultura biesiadna przeniosła się do amfiteatrów (program ostatecznie zniknął z anteny dopiero w 2006). *Ballada* miała swoje spotkania antyczne, japońskie, kowbojskie, cyrkowe i medyczne, ale najlepiej czuła się w przebraniu ludowym. Na estradzie zjawiały się postacie rodem z *Chłopów*, *Wesela* czy telewizyjnego *Janosika*, a publiczność na ich widok zakładała kierpce i kapelusze z piórkiem... Bo spektakl kręcono z udziałem publiczności, i to żywym, widzowie śpiewali, skandowali i śmiali się, zachęcani przez konferansjerów, którymi na początku byli Bogusław Sobczuk i Jerzy Stuhr. Gdyby nie *Ballada*, ten pierwszy pewnie by nie zagrał telewizyjnego redaktora w znanym filmie Andrzeja Wajdy z 1976, a ten drugi – przebojowego wodzireja w równie głośnym filmie Feliksa Falka z 1977.

Obok Sobczuka i Stuhra na balladowej estradzie pojawiał się kwiat krakowskiego aktorstwa: Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Anna Dymna, Katarzyna Gniewkowska, Ewa Kolańska, Tadeusz Bradecki, Marian Dziędziel, Mieczysław Grąbka, Jan Nowicki. Sekundowali im aktorzy z innych miast, może czasem i bardziej znani, ale w gwarze słabsi... Bo *Ballada* była polska i wsiowa, choć zarazem nowoczesna i europejska, jak gierkowskie festi-

wale i telewizyjne programy rozrywkowe. Zapaska i modne spódniczki, parzenice i męskie dzwony do pantofli na obcasie, ciupaga i mikrofon fantazyjnie zawieszony na szyi. Skecze, monologi, piosenki, zawsze dowcipne, pełne aluzji, a przy tym swojskie i przebojowe, takie, że cała sala śpiewa z nami...

Wspomniałem na *Balladę* po premierze *Roku z życia codziennego w Europie Środkowo-Wschodniej*, który jako żywo bardzo tamte satyryczno-rozrywkowe harce przypomina. Wprawdzie twórcy spektaklu na inne źródło

opowiada nam o tym, że w Polsce ludzie dzielą się na „dwa gatunki”, „dwa plemiona”. Prawda to niezbita prawdziwa, więc nie ma się czego czepiać, zwłaszcza że Dymna wypowiada ją z wielkim wdziękiem. Zastanawiam się tylko, w jakim teatrze się znalazłem, może STU? Podobają mi się też, jak na otwarciu drugiej części spektaklu Dorota Pomykała śpiewa kolędę i zachęca do tego widzów, a cała sala nuci razem z ulubioną aktorką swoją ulubioną świąteczną melodię. Zastanawiam się jednak, czy to podstępna pułapka na zdzienniały widzów, czy

Swój nowy spektakl Strzępka i Demirski wymyślili w odpowiedzi na politykę kulturalną państwa rządzonego przez PiS, której ofiarą padł Stary Teatr. Stąd obecność na scenie Glińskiego i Zwinogrodzkiej w ich komediowych wcieleniach butnego kowboja i demonicznej guwernantki.

inspiracji wskazują, na *Opis obyczajów za panowania Augusta III* Jędrzeja Kitowicza i „spektakle powstałe na jego kanwie”, ale czy Miłkołaj Grabowski wyreżyserowałby je bez doświadczeń na krakowskiej estradzie, w kabarecie i na offie? Pamiętamy fantastyczne czasy, w których aktorzy pięknie obsadzeni w rolach polskich Sarmatów nawet wódką potrafili widzów poczęstować... Nie piszę tego, żeby się wyzłośliwiać, chcę zrozumieć, jak radził kiedyś Jerzy Koenig. Bardzo mi się podoba monolog Anny Dymnej jako Bóstwa Gniewu – w tym spektaklu każdy jest jakimś bóstwem lub bóstwem czegoś – które przybrało postać góralskiej gospodyni i z miłym uchu akcentem

może jednak nostalgiczna wycieczka w kabaretową przeszłość?

Lubię też te wszystkie apostrofy, trochę „jak z Kitowicza”, a trochę „jak z Mickiewicza”, które powracają w spektaklu niczym refren. „O wakacje polskie” – woła Bóstwo Klasy Średniej, „O mężczyźni polscy” – wzdycha Bóstwo Millenialsów, o szkołę polską, o polską służbę zdrowia, o tradycję i kulturo polską! Wszystkie brzmią dowcipnie i przejmująco, bo spektakl, choć śmieszny, gorzki jest zarazem, nawet katastroficzny... Na scenie jak zdechły wąż leży zwalona wieża krakowskiego kościoła, a w umysłach bohaterów tylko gniew, rozpacz i rezygnacja się lęgną, albo też głupota, cy-

nizm, pycha, klótność, no, wszystkie nasze narodowe wady, które kiedyś do rozbiorów doprowadziły, a dziś nas pewnie z Europy wyprowadzą i zawiodą nie wiadomo dokąd. Zastanawiam się jedynie, dlaczego tę katastrofę oklaskuje się w Starym na stojąco i z uśmiechem na twarzach, jakby nigdy nic? Czyżbyśmy lubili tę naszą beznadziejność? A może nie bardzo w nią wierzymy? Teatr w Polsce nie od dziś rywalizuje z Kościołem o dusze Polaków, musi więc, odprawiając swoje rytuały, liczyć się z ich wrodzonym niedowiarstwem...

W każdym razie – jest smutno. W najbardziej przejmujących momentach wszystkie sceniczne bóstwa idą noga za nogą w jakimś chocholim pochodzie, i jest to jedyna forma wspólnoty, na jaką je stać. Poza tym siedzą i bez przerwy się kłócą, obrażają i upokarzają. Od czasu do czasu ktoś kogoś zgwałci, ktoś komuś zagrozi siekierą, ktoś nieskutecznie powiesi się na choince... Poza tym normalnie, opalają się na wakacjach albo jedzą wigilijny barszcz, kompromitując i siebie, i recytowane przez siebie wartości. Najbardziej dostaje się oczywiście nowej polskiej klasie średniej, którą na scenie Starego Teatru jak zwykle reprezentuje ta sa-

ma postać zarozumiałej Polki w wieku wczesnego przekwitania, grana przez Dorotę Segdę. Nie lepiej wypadają też przedstawiciele świata nauki i kultury, przy czym ci ostatni jako żywo przypominają obecnego ministra MKiDN oraz obecną podsekretniczkę stanu do spraw teatru. Pojawienie się ich na scenie należy przyjąć jak dowcipny odwet artystów Starego na nienawidzonych urzędnikach. Mamy jeszcze tych, którzy w wolnej Polsce społecznie awansowali, i tych, którzy nie potrafią się w niej odnaleźć, a są to przedstawiciele pokoleń najstarszych i najmłodszych, co dobrze świadczy o spostrzegawczości autorów spektaklu. Dziadkowie, a dokładniej babcie, buntują się i chodzą na protesty, a wnukowie rezygnują, bo nie wierzą, że cokolwiek od nich zależy.

W narodowej szopce zjawiają się też prymitywny partyjniak, głupiotka nastolatka, dla komicznego kontrastu grana przez dojrzałą Annę Radwan, i oczywiście ksiądz (Radosław Krzyżowski), który nie wierzy w Boga, molestuje młodzież i bierze łapówki, ale słusznie wścieka się na ateistów ustawionych w kolejce do żłóbka... Choć wszyscy są bardzo antypatyczni, publiczność kocha ich od pierw-

szego wejrzenia. Dlaczego? Bo są zabawni z tymi obrażonymi minami (kobiety) i lekko siwiejącymi brodami (mężczyźni), inteligentnie napisani, a przede wszystkim dobrze znani. Mówią przecież tak samo jak w innych spektaklach, które jeszcze za starej dyrekcji tu powstały, tak samo reagują, poruszają się i myślą, oczywiście z podziałem na znane już role, farsowe i społeczne, które im tak samo – dowcipnie i z polotem – napisał Paweł Demirski, a Monika Strzępka tak samo – wyraziście i precyzyjnie – wyreżyserowała. Oboje ci artyści uchodzili do niedawna za awangardę teatru krytycznego, ale to się już chyba skończyło. Choć kpią niemiłosiernie z Polaków, ich obyczaju, tradycji i kultury, ci odpowiadają im śmiechem i wspólną kolędą na widowni.

Tak, tak, najbardziej antymieszkański teatr stał się na wolnym rynku kultury najlepszą marką, a nowa polska klasa średnia natychmiast umie taki produkt rozpoznać i docenić... Każdy kolejny spektakl w Starym jest jak nowy model Toyoty i kto ceni ten komfortowy samochód, na *Roku z życia...* się nie zawiedzie, ale czy w teatrze politycznym chodzi o to, żeby czuć się komfortowo? Można powiedzieć, że

STARY TEATR
IM. HELENY
MODRZEJEWSKIEJ
W KRAKOWIE

*Rok z życia codziennego
w Europie Środkowo-
Wschodniej*
Pawła Demirskiego

reżyseria
Monika Strzępka
scenografia, kostiumy
Arek Ślesieński
światło, projekcje
wideo
Robert Mleczo
muzyka
Tomasz Sierajewski

premiera
30 listopada 2018

Scena zbiorowa



foto: Magda Hueckel



Od lewej: Michał Majnicz, Anna Dymna, Szymon Czacki, Radosław Krzyżowski

Demirski ze Strzępką skonstruowali sobie własne narzędzie krytycznego myślenia i teraz, gdy przyjdzie taka potrzeba, bezbłędnie je stosują, dobrze wiedząc, że publiczność to kupi. Wszyscy jesteśmy po tej lepszej, mądrzejszej i bardziej eleganckiej stronie, odnieśliśmy sukces, po co więc szukać jakichś nowych rozwiązań? Niestety, rezygnując z prawdziwej twórczości, ani się obejrżeli, jak znaleźli się ze swoim teatrem w latach siedemdziesiątych. I to na estradzie...

Swoją nową sztukę wymyślili w odpowiedzi na politykę kulturalną państwa rządzonego przez PiS, której ofiarą padł Stary Teatr. Stąd obecność na scenie Glińskiego i Zwinogrodzkiej w ich komediowych wcieleniach butnego kowboja (Krzysztof Zawadzki) i demonicznej guwernantki o imieniu Wanda (Małgorzata Zawadzka). Ten pierwszy reprezentuje siłę władzy, ta druga anachroniczne wyobrażenie o polskiej kulturze, która jakoby miała zachować wymiar wspólnotowy i sakralny. „Przez moment znów czułam się jak w lewicowym paszkwilu na wigilie polskie. Zaraz pokażemy, jak nie mają racji, na nie plując” – mówi Wanda w dramacie Demirskiego, i trzeba przyznać, że

są to kwestie trafione. Święta bowiem, a także inne ceremonie religijno-rodzinne (jak ślub, pogrzeb czy wesele) rzeczywiście stanowią fundament polskiej kultury narodowej, przy czym w jego trwałość wierzą dziś już tylko konserwatyści. Postępowcy natomiast albo lamentują nad jego rozpadem, albo rozpad ten witają z satysfakcją demaskatorów wartości dawno pogrzebanych, a przez prawicę tylko sztucznie reanimowanych. Politykę kulturalną PiS nazwą więc ekshumacją trupa, którego rozkład Demirski i Strzępka, nie po raz pierwszy zresztą, pokazują na scenie.

Właśnie tak skonstruowana jest najważniejsza część ich nowego spektaklu zatytułowana *Wigilia*, płynnie przechodząca w *Dom pogrzebowy*... Wanda wygłasza w niej swoje krytyczne uwagi pod adresem lewicowego teatru, który dzieje się teraz i opowiada, jak to w święta Polacy się zdradzają, piją na umór i zabijają na drogach... Oczywiście zdarza się i tak, dlatego zawsze możemy powiedzieć, że *Rok z życia...* powstał z tęsknoty za prawdziwymi, rodzinnymi świętami, bez kłamstwa, pijaństwa i przemocy. Chciałbym w to wierzyć, ale jakoś nie mogę. Gdyby tak było, jego twórcy

wysubtelniliby nieco poetykę i choćby na próbę ożywiliby w spektaklu świąteczne archetypy polskiego teatru, opisane kiedyś przez Dariusza Kosińskiego w jego znanej książce. Tymczasem jedyne, na co ich stać, to uwolnienie aktorów z gorsetu groteskowych ról, co oczywiście tacy zawodowcy jak Dymna, Pomysł czy Krzyżowski zaraz wykorzystują, by wejść z publicznością w bliższą, bardziej zażyłą, ale przecież ledwie estradową relację.

Twórcy *Roku z życia...* bardzo pilnują, by ich „nadkabaret” ani na chwilę nie zamienił się w misterium (choć finał *Nie-boskiej komedii* zapowiadał taką możliwość). Dlatego więc zgodzili się na to, by aktorzy Starego zrobili z ich spektaklu jakieś nowe *Spotkanie z Balladą*? Rezygnując z poszukiwań, ci prawdziwi teatralni postępowcy cofnęli się w zamierzchłą przeszłość krakowskiej estrady i telewizyjnej Dwójki. Czym więc różnią się od wykpiwanych na scenie konserwatystów, którzy za swój ideał uznali Teatr Telewizji z lat siedemdziesiątych i realizują go dziś na antenie Jedynek? Moim zdaniem niczym. Choć najgorzej być dziś „symetrystą”, jednych i drugich proszę o więcej inwencji. ■